



**39. Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich
– ŁÓPTA 2026 –**

DZIEŃ 1: 16.10.2025 r.

Słowem wstępu

Zamykając trzecią dekadę Łódzkich Przeglądów Teatrów Amatorskich ŁÓPTA, trudno powstrzymać (przynajmniej metaforyczne) łzy wzruszenia. W ostatnich tylko latach nasz skromny, prowincjonalny festiwal stał się fenomenem na skalę krajową; doznał ekspansji, wywabiając trupy (teatralne) z szaf we wszystkich zakątkach naszej ojczyzny; przetrwał przenosiny i co najważniejsze, uwił dookoła siebie społeczność entuzjastów teatru amatorskiego. Raz do roku spotykamy się wszyscy, niezależnie od wieku czy sytuacji osobistej, trafiając tutaj z miejsc tak odległych (mentalnie) jak łódzkie liceum czy miasto stołeczne Warszawa.

Tegoroczna inauguracja zaniepokoiła mnie tym, jak mało ludzi na niej zastałem. Zdążyłem się nawet zmartwić, czy nasza ŁÓPTA aby nie przymiera głodem, czy nie zawiodła jej zdradziecka promocja? Człowiecze małej wiary! Odpowiedź jest prosta: okazuje się, że w piątek o 13:00 normalni ludzie jeszcze pracują. Myślę, że magia naszego zjazdu wybrzmiewa szczególnie w takich okolicznościach – otóż nie zdążyło się nawet ściemnić, a sale już pękały w szwach i ludzie tratowali się wzajemnie. Jak sądzę z emocji.

Przywołując słowa mojej zacnej poprzedniczki, wieloletniej Redaktor Naczelnej ŁÓPTAKA, Barbary Cieślewicz: niech zacznie się teatr! Spotkał mnie bowiem zaszczyt odziedziczenia tej szlachetnej funkcji. I jakkolwiek nie mam szans w żadnym stopniu jej dorównać (proszę o wybaczenie szczególnie na płaszczyźnie technicznej), tak obiecuję nie zaprzepaścić tego dorobku i utrzymać uprzednio wytyczony kurs. Dziękuję za zaufanie samej Basi, naszym przełożonym i koleżankom oraz kolegom z zespołu pisma.

A zatem: powodzenia! Nam widzom, abyśmy zdołali pochwycić jak najwięcej z ulotnego piękna amatorskiego teatru, nie osuwając się na podłogę u progu nocnego omówienia. Lecz przede wszystkim czytającym nasze pisemko grupom, które trafiły na deski Teatru im. Stefana Jaracza, ponieważ przeszły pozytywnie pewną (arcyważną) próbę – wszyscy odważyliście się występować. I niech zasypią was za to zasłużone oklaski!

Jakub Pisarski
Redaktor Naczelny



Jakub Pisarski

Absolwent studiów historycznych, naukowo zajmujący się losami polskich Romów po II wojnie światowej. Wieleletni amator teatru, zwłaszcza musicali, oraz równie amatorski recenzent dzieł kultury. W teatrze najbardziej ceni unikatowe doświadczenie każdego spektaklu i wynikające z tego emocje. Pasjonat literatury pięknej, od starożytności po twórczość współczesną, oraz „gier bez prądu”.



Paulina Kabzińska

Absolwentka historii, świeżo upieczona nauczycielka, miłośniczka literatury klasycznej i podróży, ale przede wszystkim gorąca wielbicielka teatru, a także recenzentka Dziennika Teatralnego. Szczególne miejsce w jej sercu znajdują musicale, chociaż lubi także wszelkiego rodzaju eksperymenty formą. W teatrze najbardziej ceni sobie jego specyficzną atmosferę, ulotność i niepowtarzalną relację między aktorami, a widzami.

Spis treści

5

Teatr Ubogi Relacji

„Toż/samość” | Gdańsk

6

Teatr Jednego Aktora Jerzy Kałduś

„Dwie kosy Żywotnego Mariana” | Lublin

7

Puławski Teatr Amatora

„Świętoszek” | Puławy

8

Teatr Obsada Zmywaka

„Skrzydła, którymi kołyszysz” | Białystok

9

Korelacja Teatralna

„Poczekalnia” | Gdynia

10

Teatr Więcej Dymu

„To lubię” | Łódź

11

Teatr Telimena

„Mrówkojad” | Lesznowola

12

Teatr na drabinie

„Z niewinności” | Łódź

13

Grupa Teatralna Pomarańcze w Uchu na Skarpie bez Kartk

„Próba Bohatera” | Goleniów

Osoba niepełno(s)prawna?

W przypadku grup teatralnych o niezwykłym tle społecznym, na przykład składających się z członków mniejszości, zawsze istnieje pokusa zredukowania treści spektaklu do jednej tylko tematyki, jaką jest tożsamość twórców. Zabrzmiałoby to być może jak oksymoron, kiedy mówimy o spektaklu zatytułowanym „Toż/samość” – ale odnoszę wrażenie, że przybywający do nas z Trójmiasta Teatr Ubogi Relacji, zdecydowanie wolałby być postrzegany przez pryzmat owej „samości”. To nie tyle trupa, którą można by było zwołać w pospolitym ruszeniu na potrzeby konkursu, a raczej żyta społeczność złożona z oryginalnych, pełnych duszy jednostek. Wiele z nich mieliśmy okazję dzisiaj poznać bliżej. Światło reflektorów padało na aktorów hojnie, a czasu było dostatecznie dużo, żeby każdemu przypadło w udziale przysłowiowe pięć minut.

Spektakl dotyczył problemów z samookreśleniem i postrzeganiem samego siebie, swoistej trójstronnej negocjacji pomiędzy rzeczywistością, godnością własną a opinią innych. Nie da się ukryć, że zdrowe poczucie własnej tożsamości musi stanowić kompromis między tymi potęgami. Wypieranie faktów, porzucanie marzeń czy odcinanie się od dialogu z innymi to drogi prowadzące donikąd. Jednak w przypadku grup takich jak osoby niepełnosprawne, odnalezienie swojego głosu wymaga czasu, przyjaznego otoczenia, oraz imponujących nakładów pracy. Naszych bohaterów spotykamy już po najtrudniejszym etapie i mamy przyjemność wysłuchać, co mają nam do powiedzenia, całkiem wolni od stereotypów związanych z ich przypadłościami. Czy efekt końcowy się broni?

Moim zdaniem, tak. „Toż/samość” jest kwintesencją teatru amatorskiego, głęboko osobistym kalejdoskopem uczuć postaci i zarazem samych aktorów, ponieważ granica między nimi od początku do końca pozostaje mglista. Wysłuchanie ich głosów, wcale nie posępnych czy kombatanckich w wyrazie (jak to często bywa przy mówieniu o niepełnosprawności), podnosi na duchu i przynosi uśmiech na twarze. Przedstawienie swoją formą przypomina trochę cyrk czy innego rodzaju pokazy sztukmistrzów: dzieje się dużo, ludzi jest mnóstwo, więc całość dostarcza widowni frajdy... dopóki wszystko się kręci. Jedyne istotne mankamenty podnoszą głowę w chwilach, kiedy ta reguła przestanie działać, a dotyczą one sfery technicznej. Występ był posiekany chwilami ciszy i ciemności, które studziły nastroje i wprowadzały zamieszanie wśród widzów – ktoś zaczął klaskać, kto inny wstał i wyszedł. Sądzę, że dałoby się to ominąć, gdyby trochę dłużej popracować ze sprzętem i wyrobić sobie odpowiednie tempo. Imprezowe nastroje przygasiły również piosenki wykonane z użyciem sztucznej inteligencji (było to bardzo słyszalne) – ale nie ma tego złego, ponieważ na ich tle doskonale wypadła piosenka wykonana przez aktorów wspólnie i na żywo. Miała w sobie mnóstwo serca, tej surowej naturalności, której spodziewalibyśmy się po spektaklu tak głęboko uczuciowym.

Najbardziej budujące były jednak okoliczności towarzyszące. Po ekipie Teatru Ubogiego Relacji widać przyjaźń i życzliwe stosunki na scenie, a wzmiankowane przez aktorów regularne próby (chodzenie „na teatr” w poniedziałki i piątki) znajdują odbicie w poziomie ich gry. Pomyłki, błędy czy potknięcia były nieuniknione, nie uciekną przed nimi nawet najlepsi spośród profesjonalistów. Natomiast duch pracy zespołowej, który aż bił ze sceny, jest czymś, czego owi profesjonaliści mogliby się z tego spektaklu gremialnie nauczyć.

Nie taki ponury żniwiarz

Każdy zna w swoim życiu Mariana Żywotnego [Jerzy Kałduś], bo to typ osobowy endemiczny dla polskiej prowincji. Udały gawędziarz, snujący wielowątkowe opowieści z przędzy własnych losów, a zarazem mitoman wijący dookoła nas nici korzystnej (dla niego) autokreacji. Jest zabawny, niepoprawny politycznie, ale od czasu do czasu zdolny zmrozić nam krew w żyłach nonszalanckim, prymitywnym okrucieństwem. To filar naszej tradycji i stylu życia, ale też tradycyjnej bigoterii czy wprost zabobonu. Wszyscy czasem kochamy Mariana, a czasem go nienawidzimy. Niektórzy nawet mają taki przywilej, że są z nim spokrewnieni.

Opowieści wiejskiego dziadka błyskawicznie ujęły mnie za serce, targając nim w mieszanecę nakreślonych wyżej uczuć. Ton owej gawędy jest nietypowy dla monodramu, bo bezpośredni i przyjazny. Ze świecą szukać tutaj długich momentów ciszy, człowieka w chandrze zwijającego się w pułapce własnej samotności, kryzysu zdrowia psychicznego czy innych tematów typowych dla gatunków. I bardzo dobrze, bo w ten właśnie sposób p. Jerzy powołał do życia najlepszy monodram, jaki widziałem w życiu. Posiada on rozumną, trójaktową fabułę, mocno osadzonych w rzeczywistości bohaterów i atrakcyjne realia historyczne. Wiele z tego jest, jak sądzę, wprost odziedziczone po oryginalnej powieści; spektakl jest bowiem adaptacją dzieła Danuty Noszczyńskiej o zbliżonym tytule.

Należy jednak oddać cesarzowi, co cesarskie. To dzięki wyrazistej osobowości scenicznej jedyne go aktora, widownię udało się wciągnąć w świat pozostający dotąd gdzieś na peryferiach świadomości. Uczynił to za sprawą swoich wielkich przymiotów: nienagannej dykcji, życzliwej i niepozbawionej pasji pracy z tekstem źródłowym, ale też osobistej wrażliwości dodającej niuansu całej fabule. W ustach p. Jerzego ożył nie tylko Marian Żywotny, ale też całe jego otoczenie. Takiego opowiadania można by słuchać długimi godzinami, pozwalając, by jego „dym i zwierciadła” przeniosły nas w egzotyczny świat peerelowskiej wsi. Pomogła w tym oczywiście scenografia, skromna, ale w każdym calu oddająca ducha epoki i wykorzystana naprawdę kreatywnie.

Za absolutnie jedyną wadę spektaklu poczytuję jego zakończenie. Uważam, że było zbyt szybkie i bezceremonialne, wytrąciło mnie z katarsis w dosłownie ostatnich tchnieniach sztuki. Być może to naleciałość po pierwotnej powieści, może odtwórcę nagliły ramy czasowe festiwalu? Możliwe jednak, że nie podobałoby mi się żadne zakończenie – bo monodram był tak dobry, że chciałbym, aby trwał jak najdłużej.

Kandydat Tartuffe

Uwspółcześnienia klasycznych dramatów rzadko kończą się dobrze. Najczęściej jest to metoda zamaskowania braków w budżecie lub wyobraźni twórców – brakuje pieniędzy na stroje czy scenografię, a przede wszystkim polotu, żeby wczuć się w realia inne niż teraźniejszość. Nietrudno przewidzieć, że do „Świętoszka” w wykonaniu Puławskiego Teatru Amatora podszedłem przynajmniej sceptycznie...

I jak się okazuje, całkowicie bezzasadnie! Spójna wewnętrznie reżyseria Ryszarda Stępnia (pełniącego przy okazji role scenografa, aktora i poniekąd dramaturga, zmienione są bowiem niektóre dialogi; sztuka zyskała też całkiem nowy finał) udowadnia, że z odpowiednim nosem do reinterpretacji i przemyślaną żonglerką realiami, można uzyskać spektakl lepszy nawet od solidnego odtwórstwa. Akcja przeniosła się, przynajmniej pod względem symbolicznym, do swoistej wizji Polski B lub też całości naszego kraju w latach dwutysięcznych. Decyzja ta okazała się perfekcyjnie współgrać z mieszczańskim światkiem wykpiwanym przez Moliera, trafiając w nieoczekiwane jednolity świat wartości i słabości, które łączą nas z mieszkańcami XVII-wiecznego Paryża.

Interesująca reinterpretacja nie przyćmiła ani zjadliwej krytyki społecznej, ani humoru oryginału. Widownia śmiała się słabo, ale chyba tylko z własnej winy, bo aktorzy wykazali się lotnym zmysłem komediowym i wręcz podreperowali tekst dramatu tam, gdzie wybrzmiewał słabo (o tym więcej w ostatnim akapicie). Ekipa w tym względzie jest bardzo równa i mówię to od serca: każda postać dramatu zgrabnie zyskała moją sympatię i tym samym zasługuje na wyróżnienie. Jeżeli jednak musiałbym wybrać ulubieńca (a wiem, że tak wypada, recenzentem będąc) to wskazałbym Mikołaja Knapa w roli Tartuffe’a – jest obrzydliwy, perfidny i nie można od niego oderwać wzroku. To wspaniałe, a odtwórcę bez wahania poleciłbym do roli Kazimierza Starskiego w następnej adaptacji „Lalki”.

Kardynalną wadą spektaklu jest tekst dialogów. Poetyckie, śliczne tłumaczenie Boya-Zeleńskiego gryzie się ze współczesnymi wtrętami (niestety z tego, co wiem, alternatywny wariant autorstwa Kazimierza Zalewskiego również szedłby w tym duchu). Na miejscu producenta zdecydowałbym się na całościowe przyjęcie którejś z opcji: opowiedziałbym fabułę „Świętoszka” prozaicznie współczesnym językiem, albo wiernie odtworzył tekst (reinterpetację oddając środkami wizualnymi, mową ciała, etc.). Obecna mieszanka zgubiła wiele z rytmu, jaki tłumacz nadał dialogom, wytracając przy okazji dużo z ciętych ripost i wtrętów typowych dla ówczesnej komedii.

Powyższy drobiazg nie kładzie się jednak cieniem na całości, która jest kawałkiem pełnowartościowego teatru! Twórcy wyszli ponad odtwórstwo także z ponurym, aczkolwiek trafnym zwrotem akcji w zakończeniu. Aura małomiasteczkowej bigoterii sprzyja Tartuffe’om tego świata, co wiemy doskonale my, widzowie – nieszczęśnicy zmuszeni w takim świecie żyć.

Powrót Króla

Psychomachia to motyw pojawiający się na każdej edycji ŁÓPTA, czasem nawet kilkakrotnie. Każda grupa ma swój pomysł, jak błyskotliwie zdekonstruować lub odwrócić do góry nogami konflikt fundamentalny dla ludzi moralnych – walkę dobra ze złem o ludzką duszę. Na takim tle „Skrzydła, którymi kołyszysz” Teatru Obsada Zmywaka są jak powiew świeżego powietrza. To spektakl, gdzie wszystko jest na swoim miejscu, przypominający nam wszystkim, na czym stoi świat i jaki człowiek jest naprawdę.

Poetycki język dramatu, twórczo eksplorujący tekst „Król Wschodzącego Słońca” salezjanina, Adama Piekarzewskiego przeplata słowa narodowych wieszczów z nagą prozą mowy codziennej. Jest dostojny, przesiąknięty tradycją i dobrze leży w ustach aktorów. Ci wzięli na swoje barki brzemień, które zdecydowanie podźwignęli. Wszyscy spisali się świetnie, ale moim nieoczywistym faworytem jest Darek Krzysztofik, przynajmniej z lekka pokrzywdzony przez tekst źródłowy. Jego rola jako Anioła, reprezentanta strony dobra w odwiecznym konflikcie, zamyka się akurat w momencie, kiedy zaczął się aktorsko rozkręcać i wyszedł z kościółkowego zaśpiewu w stronę bardziej stanowczych słów (a co za tym idzie, dużo bardziej perswazyjnych). Konkurujący z nim Szatan dostał tymczasem aż nadto przestrzeni, co widza w żadnym razie nie powinno boleć, gdyż Ryszard Dawidko jest w tej roli diabelsko charyzmatyczny. Tymczasem Marcin Trocki jako nienazwany z imienia człowiek, znajduje się między nimi w centrum i wykorzystuje tę pozycję do ukazania imponującej głębi aktorskiej, bogatej w niejednoznaczności.

Chciałbym, żeby podobnie wielobarwny był tekst dramatu, który na początku zdawał się obiecywać chociaż odrobinę swobody interpretacji. Kim jest Król, a kim tajemniczy przyjaciel w czerni? Przez pierwszą ćwiartkę tekstu to bardzo interesujące zagadnienia, ale szybko zostają wyjaśnione i czar pryska. Rozumiem jednak, że esencji materiału źródłowego ekipa teatralna po prostu nie mogła zmienić.

Koniec końców należy jednoznacznie pochwalić warsztat produkcyjny i zgranie ekipy aktorskiej z techniczną. Świetnie wypadają momenty, kiedy ludzie na scenie mają okazję współgrać ze światłem, muzyką, etc. Również scenografia nie sprawia im najmniejszego problemu, traktują ją naturalnie. Finałowy atut stanowi w moich oczach to, że całość nie wygląda tanio. W obecnym kształcie „Skrzydła, którymi kołyszysz” można bez wahania pokazać szerokiej publiczności, dzieląc się klasyczną urodą sztuką i wiedząc ją (piszę to bez cienia ironii) ku zbawieniu. Wszyscy bowiem tego potrzebujemy, niezależnie od różnicy poglądów na metafizykę.

Psalm stojących w kolejce

Antologie teatralne to gatunek budzący moją żywą ciekawość i zawsze cieszy mnie, kiedy mam okazję zobaczyć takich więcej. „Poczekalnia” autorstwa Korelacji Teatralnej z Gdyni to rzadki kąsek z tego nurtu, stanowiący właściwie zbiór skeczów złączonych nicią wspólnej filozofii. Zasila je specyficzna odmiana absurdu i poczucia humoru, moim zdaniem bardzo trafnie wcielona w życie (choć niestety, widowiska była już zbyt wymęczona i głodna przed przerwą, żeby go docenić – strasznie trudno usytuować takie dzieło w grafiku spektakli...).

Twórcy wykazali się godnym podziwu rozmachem pod względem ilości wątków, przeplatających się ról i koncepcji, które widz musi pochwycić, żeby nadążyć za dynamicznym rozwojem fabuły. Podobała mi się energia, z jaką zespół realizował (absolutnie obłąkane) wydarzenia na drugim i trzecim planie: działał przy tym jak jeden doskonale zrównoważony organizm. Korelacja Teatralna zdaje się być środowiskiem przyjaźnie egalitarnym, gdzie każdy może liczyć na popis w ładnie skrojonej rólce. Nikt nie sprawia wrażenie, jakby był spychany na boczny tor, a ewentualne role pierwszoplanowe przypadają aktorom, którzy faktycznie „dostarczają” swojej widowiskowi najwięcej. Już na pierwszy rzut oka widać po nich szczere, pasjonackie zaangażowanie; dokładnie ten rodzaj know-how, który charakteryzuje dobry teatr amatorski.

I tak właśnie było. Wbrew nazwie, nie nudziłem się w „Poczekalni” ani przez minutę. Twórcy zadbali o to, żeby każda minuta oferowała nowe wrażenia, zwroty akcji zaskakiwały, a ze wszystkiego biło podskórne przeświadczenie o „czymś więcej” ukrytym w fabule – które może tam być lub nie, zależnie od osobistej interpretacji. Postawiony pod ścianą, aby wskazać mankament, powiedziałbym, że jest nim pewna spójność tematyczna. Poważne myśli, którymi Marta Guśniowska usiłowała podszyc swoją sztukę, nie wybrzmiewają tutaj wyraźnie. Uważam jednak, że to wina przede wszystkim pierwotnego dramatu. Korelacja Teatralna ewidentnie przeszła nad tym faktem do porządku dziennego i uzyskała efekt końcowy, którego nie powstydziliby się żaden profesjonalny teatr.

Litość i inne uczucia

Słowa "To lubię" mogą i zapewne kojarzą się bardzo współcześnie. Social media, lajki, scrollowanie. Nic jednak bardziej mylnego, bo sztuka ta to właściwie inscenizacja kilku najsłynniejszych ballad Adama Mickiewicza – Romantyczności, Świtezianki, Liliji, a także odrobinę mniej znanej – To lubię . Od pierwowzoru odbiega jedynie ostatnia scena spektaklu, która stanowi zgrabne podsumowanie i oryginalne zakończenie dla całości. Teatr Więcej Dymu udowodnił ogromny potencjał dramatyczny tekstów Mickiewicza. Dzięki pracy aktorek i aktorów wszystkim znane Ballady wychodzą poza szkolne ramy i zyskują nowe życie. Miło patrzy się na młode pokolenie, które tak żywo interesuje się polską klasyką i szczerze ją przeżywa. Te emocje na scenie widać! Chociaż język jest trudny, to udało się uniknąć deklamacji - każda kwestia należycie zinterpretowana i wypowiedziana ze swoistym niuanssem. Widać tu ogrom pracy włożonej w przygotowanie sztuki.

Spektakl, jak przystało na epokę romantyzmu, jest niezwykle klimatyczny. Bazowy kostium całego zespołu składa się z czarnych spodni i koszuli, które tworzą swoiste wrażenie uniwersalności. Jak w życiu nasze role się zmieniają, tak i na scenie jeden aktor gra tu wiele ról. W rozróżnieniu postaci pomagają nam rekwizyty takie jak kolorowe chusty, które dodatkowo przywodzą na myśl jedną z ważniejszych cech romantyzmu – ludowość. Zjawy czy upiory mają na sobie więcej odrobinę więcej bieli, co symbolicznie kontrastuje z żywymi. Teatr Więcej Dymu generalnie radzi sobie znakomicie z operowaniem symbolami - dla przykładu wykorzystanie liści i płatków kwiatów do zasygnalizowania upływającego czasu czy też wstążki Świtezianek nawiązujące do efemerycznej natury nimf. Ta ostatnia scena zasługuje zresztą na więcej uwagi, bo na mnie zrobiła największe wrażenie, także pod kątem ruchu scenicznego i oświetlenia. Rozbicie roli nimfy na kilka aktorek, wykorzystanie w scenie wstążek, w które aktor grający strzelca stopniowo się wplątuje aż w końcu odkrywa, że znalazł się w śmiertelnej pułapce. Wszystko to jest gustowne i buduje spójny charakter i klimat spektaklu.

Wszystkie aktorki i aktorzy byli bardzo zaangażowani w sztukę, największe wrażenie zrobiła jednak niewątpliwie Julia Owczarska w roli Karusi (i innych mniejszych rolach). Mogę śmiało powiedzieć, że jest ona aktorką z krwi i kości – na scenie nie gra tylko głosem czy twarzą, gra całe jej ciało, co daje wrażenie ogromnej autentyczności przeżywanych emocji. Widać, że aktorka ma dużą swobodę w ich wyrażaniu. Na wyróżnienie zasługują też Franciszek Rychter, szczególnie za rolę strzelca. Wyróżnia go umiejętność ukazania obok siebie scen ciężkich oraz tych delikatnych i wrażliwszych. Podobają mi się także Michalina Koralewska oraz Paulina Walkowska, które potrafiły pokazać całą paletę uczuć – od radości do smutku i od udręczenia po nadzieję. Gratuluję wszystkim aktorkom i aktorom, a także reżyserowi – Piotrowi Szwedowi. Być może więcej byłoby fanów romantyzmu i ballady jako gatunku literackiego, gdyby uczniowie zapoznawali się z nim właśnie w takiej, teatralnej, formie.

Jest prawdą to, z czym sami się zgadzamy

Rzecz dzieje się w mrowisku. Gdzie indziej można bowiem spotkać mrówkojada? Na pewno nie w sztuce Teatru Telimena. Tutejszy mrówkojad to postać raczej legendarna. W żadnym momencie jej nie widzimy, a jednak jej widmo jest wyraźnie obecne w słowach i czynach bohaterów. Mrówki bowiem szalenie boją się siejącego postrach mrówkojada i próbują się przed nim chronić na różne sposoby. Metody zabezpieczeń wymyśla, w dużej mierze na poczekaniu, szef mrowiska razem ze swoją prawą ręką, a wdrażają je przerażeni mieszkańcy mrowiska, którzy całą swoją wiedzę o mrówkojadzie czerpią z prasy. Wkrótce każdy aspekt ich życia zacznie sprowadzać się do mrówkojada odpowiedzialnego za wszystkie nieszczęścia w mrowisku.

Teatr Telimena bardzo sprawnie wykorzystał przestrzeń sceniczną, konstruując znaczącą scenografię. Na środku sceny ułożony jest kopiec mrówek, znajdziemy tam także ekran z nagraniem tych właśnie stworzeń. Aktorzy siedzą dookoła tego mrowiska na ruchomych krzesłach na kołach, co przywodzi na myśl ich znaczną dynamikę poglądów. Zgrabnie wychodzą wszystkie przejścia pomiędzy scenami, drobne zmiany scenografii czy zmiana aktorów. Widać, że wszyscy bardzo przyłożyli się do rzetelnej realizacji tej produkcji. Wysoki poziom zaangażowania widać także po grze aktorskiej. Szczególnie dobre wrażenie pod tym względem zrobił na mnie Józef Teofiluk. Jego Stare było postacią komiczną, ale przy tym zachowującą ramy realizmu i oddającą prawdziwe emocje. Bardzo dobrze radził sobie także Krzysztof Klimaszewski w roli szefa. Udało mu się stworzyć kreację dość niejednoznaczną – początkowo wydaje się, że władza sama w sobie jest jego celem, ale z czasem coraz bardziej zastanawiałam się, kto jest tu na czyjej łasce – mrówki na łasce władzy, czy może władza na łasce mrówek.

Sztuka, której autorem jest Mirosław Oledzki, jest swego rodzaju baśnią alegoryczną, gdzie mówiące zwierzęta odnoszą się bezpośrednio do naszego świata. Jak na mój gust odnoszą się nawet odrobinę za bardzo – by nie łamać immersji i uczynić historię bardziej uniwersalną można by darować sobie wzmianki o Żydach, segregacji w komunikacji miejskiej czy apartheidzie. A jeśli nie darować zupełnie, to chociaż je również przebrać pod płaszczyk historii mrowiska, bo po prostu wychodzi tutaj mały zgrzyt fabularny. Sztuka sama w sobie ma ciekawy pomysł, chociaż należy zauważyć, że wbrew opisowi nie jest to uniwersalna opowieść o mechanizmach władzy i kontroli społeczeństwa, a raczej bardzo wyraźny komentarz w sprawie pandemii koronawirusa, maseczek, szczepionek oraz wojny na Ukrainie. Pytania z jakimi nas zostawia? Między innymi o to, jak media kształtują nastawienie społeczne do pewnych tematów, jak nowe sensacje wypierają stare, czym są tematy zastępcze i komu one w zasadzie służą? I wreszcie czym tak właściwie jest prawda – czy jest obiektywna, a może jest tylko odbiciem tego, co za prawdę uważa większość. Czy obiektywna prawda jest jeszcze coś warta? Bo jaki pożytek jest w posiadaniu racji, jeśli nikt jej nie uznaje?

Każdy ma swoje więzienie

Teatr na drabinie działający w VIII Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi spełnił jedną z moich fantazji – na Łódzkim Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Amatorskich pojawił się spektakl zainspirowany historią Łodzi. Nie jest to historia łatwa – fabryki i robotnicy, włókniarki i ich, przez większość zapomniany i niedoceniany, strajk. Sprawa bolesna dla każdego zaangażowanego łodzianina. Na szczęście młodzi ludzie z Teatru na drabinie pamiętają o tak ważnym wydarzeniu i, co najbardziej godne podziwu, są w stanie opowiedzieć o nim z należytą wrażliwością. Piękna to sztuka budująca łódzką tożsamość kulturowo-społeczną.

Trudno mi wybrać, od czego konkretnie zacząć pochwały, bo tak wiele rzeczy mnie zachwyciło. Rozpocznę więc może od tego, co nawet w teatrze instytucjonalnym nie jest oczywistością – od rozmachu. Już sama ilość aktorek i aktorów w scenach zbiorowych robi wrażenie. Jeśli przyjrzymy się bliżej ich kostiumom, to dostrzeżemy, że są one dopracowane w każdym detalu. To nie są jakieś umowne elementy garderoby, to bardzo spójna kompozycja strojów wyjętych z epoki, zaczynając od chustek na głowie, a na butach kończąc. Rozmachem charakteryzuje się także scenografia, która chociaż technicznie prosta, bo składa się w większości z drabin, desek i klatek, jest bardzo klimatyczna. Aktorzy i aktorki budują ją na scenie już w trakcie spektaklu, co daje jednocześnie wrażenie efektowności i minimalizmu. Zjawisko to jest bardzo pożądane w teatrze dramatycznym. Pragnę też zwrócić uwagę na genialne wykorzystanie światła w połączeniu ze scenografią. Cienie krat na ścianach zdecydowanie wywołały zamierzone wrażenie na widzu. Nie mogę nie wspomnieć też o muzycznej warstwie spektaklu, za którą odpowiada Piotr Selim. Szczególnie piosenka rozpoczynająca przypadła mi do gustu, ponieważ pozwala na ekspresową immersję w świat przedstawiony.

Pod względem aktorskim spektakl jest zupełnie profesjonalny i w niezmienionej formie mógłby być wystawiany na deskach teatrów. Wszystkie aktorki i aktorzy są bardzo zaangażowani, grając wykorzystują całe ciało i tę grę utrzymują nawet, jeśli są tylko tłem dla innej sceny. Oczywiście najbardziej wyróżniają się dwie główne role – Mateusz Biland jako Strażnik oraz Jakub Pietrzak jako Więzień. Obaj mają mocne osobowości sceniczne i szeroką gamę emocji do pokazania. Wykazują się znaczną charyzmą, szczerą wrażliwością oraz umiejętnością przemówienia do serca widowni. Mnie Teatr na drabinie wzruszył do łez i otwarcie życzę mu wygrania festiwalu.

Chociaż sztuka dotyczy historii Łodzi, to niech nie martwią się osoby z innych zakątków Polski. Łódzkość stanowi tylko punkt wyjścia do opowiedzenia o czymś znacznie bardziej uniwersalnym. O tym, co nami kieruje, co nas motywuje. O tym, czego się boimy i co jest dla nas ważne. O tym, że granice dobra i zła nie zawsze są ostre. O tym, że czasem los stawia ludzi po przeciwnej stronie barykady, a oni mają na to niewielki wpływ. O tym, że każdy chce w swojej głowie być tym dobrym, niewinnym. O tym, że role szybko się zmieniają, a ostatecznie każdy z nas zostaje w swoim więzieniu, cokolwiek by je tworzyło.

Grupa Teatralna Pomarańcze w Uchu na Skarpie bez Kartki "Próba Bohatera" | Goleniów

Strumień świadomości

Bohaterstwo to temat ważki, kiedy czasy są tak... ciekawe, jak te nam współczesne. Wszyscy od czasu do czasu chcielibyśmy wznieść ręce ku niebu, krzycząc: chcę bohatera! Jednak powstaje pytanie – czy potrzebujemy pomocy z zewnątrz, jakieś *super-*mocy? A może prawdziwa siła tkwi w nas samych, kiedy przezwyciężamy bariery i słabości samych siebie? Z drugiej strony, czy to nie właśnie przywary czynią nas ludźmi, ustanawiają charakter inny niż pomnikowa gładkość? Co, jeśli prawdziwi ludzie po prostu nie są ulepiani z gliny tak dobrej, jak ów Gilgamesz, Hektor czy Roland? Albo przewrotnie, jesteśmy dokładnie tak samo wadliwi, dlatego w biegu pokoleń raz po raz odnajdujemy siebie w ich opowieściach. O tym, według zapowiedzi, miałby opowiadać spektakl „Próba Bohatera” grupy teatralnej Pomarańcze w Uchu na Skarpie bez Kartki z Goleniowa. Rzeczywistość bywa jednak na tyle przewrotna, że efekt końcowy nie miał z powyższą parafrazą wiele wspólnego.

Jest to natomiast spektakl o szeroko rozumianej frustracji. O niepowodzeniach albo przeciwnie – o sukcesach, które nie są należycie doceniane. Przewrotnie bohaterami spektaklu nie są wcale postacie fikcyjne, a aktorzy grają samych siebie. Całość stanowi więc swego rodzaju spowiedź, wyznanie żalu do ludzi i do świata, zapewne oczyszczające i terapeutyczne dla Pomarańczy. Nie jest to jasne od początku – aktorzy w ciekawy sposób prowadzą z widzem swoistą grę, zanim ostatecznie potwierdzą słuszność tej interpretacji.

Pozwolę sobie zacząć od dwóch wad. Pierwszą jest w mojej ocenie nadmierna wulgarność (szczególnie w warstwie muzycznej), nie zawsze uzasadniona. Czasem mniej znaczy więcej. Drugą jest natomiast kilkukrotne palenie papierosów na scenie. Rozumiem oczywiście cel i nie odbieram mu znaczenia, ale kiedy cztery osoby odpalają papierosa na scenie kameralnej, to widownia zamienia się w zadymioną palarnię, a pierwsze kilka rzędów dosłownie walczy o oddech. Osobie palącej na co dzień może to nie przeszkadzać, jednak nie każdy marzy o byciu biernym palaczem.

„Próba Bohatera” jest z całą pewnością sztuką kontrowersyjną, która znajdzie sobie wśród publiczności gorących wielbicieli, jak i przeciwników. Na scenie dużo się dzieje – są egzystencjalne rozmowy, są bójkі, niszczenie szafki, a nawet przyklejanie chleba do ciała za pomocą taśmy klejącej. Pomysły odważne i zrealizowane z godną szacunku starannością. Wszyscy aktorzy – Paweł Kowalak, Ksawery Nowak, Dima Cherkaskyi oraz Karol Bardzki – cechują się dużą naturalnością gry aktorskiej. Ponadto wszyscy mają bardzo trafne wyczucie komediowe, co najlepiej potwierdzają żywe reakcje publiczności. Całą Pomarańczę wyróżnia zresztą umiejętność szybkiego nawiązania bardzo mocnej relacji z widownią, za co odpowiada chyba w największej mierze Ksawery Nowak. Publiczność była bardzo zaangażowana we współpracę z nim, co wcale nie jest oczywiste. Pragnę docenić też ruch sceniczny. Widać, że był dobrze przemyślany i naturalny, szczególnie w scenie bójkі. Warto docenić też muzyczne zdolności aktorów, którzy część aranżacji muzycznej wykonywali na żywo.

Grupa teatralna Pomarańcze w Uchu na Skarpie bez Kartki stworzyła sztukę zabawną, szczerą, a przy tym o dość gorzkim i ponurym wydźwięku. Być może jej największą siłą jest to, że nigdy tak naprawdę nie dowiemy się, czy była to stuprocentowa prawda, czy może jest tam jednak jakaś część czystej fikcji. Czy w ostatecznym rozrachunku ma to jakieś znaczenie? Na to pytanie każdy widz musi odpowiedzieć sobie sam.



łódzki
dom kultury

Institucja Kultury
Samorządu Województwa
łódzkiego

16-18.10.2026

Teatr im. Stefana
Jaracza,
ul. Jaracza 27

wstęp wolny

ŁÓDŹ
39.

Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Partner Honorowy



MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO
Joanna Skrzydlewska

ŁÓDZKIE